Tygodnik ilustrowany
Famulus

N-13

8—15 maja 1927 r.

30 gr

MAGAZYN FABRYCZNY WYROBÓW PLATEROWANYCH
B-CIA HENNEBERG
TRĘBACKA 1

PRZESZŁO 70-LETNIE ISTNIENIE FABRYKI NAJLEPIEJ ŚWIADCZY O DOBROCI WYROBÓW
!! CENY ŚCIŚLE FABRYCZNE !!

DARMO! **DARMO!**

„GODZINA CZYTANIA" „FAMULUS" i „ARABESKI"

„GODZINA CZYTANIA" (tom zł. 1, w prenumeracie kwartalnej za 6 tomów zł. 5 wraz z przesyłką) ukazuje się dwa razy na miesiąc, co 1-go i co 15-go, w postaci estetycznie wydanych książek, zawierających ciekawe powieści i romanse pióra autorów polskich i obcych. — Każdy tom stanowi zamkniętą i odrębną całość, liczącą do 200 stron druku. — W kwartale bieżącym, poczynając od 15-go marca, prenumeratorzy „GODZINY CZYTANIA" otrzymają następujące tomy:

ANITA LOOS — Mężczyźni wolą blondynki
SAX ROMER — Zaczarowana harfa
TADEUSZ PUDŁOWSKI — Zapiski prosięcia
LAFCADIO HEARN — Iikimiki
S. KARACZEWCEW — Rotmistrz gwardji
A. HOPE — Miłość królowej

Ci prenumeratorzy „GODZINY CZYTANIA", którzy zaprenumerują jednocześnie „FAMULUSA" (prenumerata kwartalna zł. 3) — otrzymają oba wydawnictwa za zł. 7.50 kwartalnie, a właściwie **DARMO,** gdyż

bezpłatnie otrzymywać będą co miesiąc ozdobnie wydany tom salonowej bibljoteki miniaturowej p. t. „ARABESKI" (cena tomu Zł. 2.50), na które w bieżącym kwartale, poczynając od 15-go marca, składać się będzie serja utworów wschodnich znanego poety REMIGJUSZA KWIATKOWSKIEGO — a mianowicie:

Chryzopras ci szczęście wróży .. — Amulety i talizmany perskie
A żółty żółtej niech sobie szuka... — Sagi koreańskie
Choć była krótsza noc, niż sen... — Uty japońskie

Zamówienia na prenumeratę „GODZINY CZYTANIA" i „FAMULUSA" wraz z „ARABESKAMI" (zł. 7.50 kwartalnie) kierować należy pod adresem

WARSZAWA -- ul. MIODOWA 5. Tel. 28-33 **Konto czekowe w P. K. O. 14315**

DARMO! **DARMO!**

Opłata pocztowa ryczałtem 8—15 maja 1927 r. Cena 30 gr.

FAMULUS

Rok I. Warszawa - Kraków - Lwów - Poznań - Wilno - Łódź - Gdańsk Nr. 13.

Kartki z raptularza

BAKCYLE MARAZMU SIĘ MNOŻĄ... Rwący potok życia, aby nie przeistoczyć się w staw o stojącej wodzie, musi być stale odświeżany dopływami zzewnątrz.

Inaczej najczystsza nawet woda mętnieje, traci szklistość i blask, cuchnie i mnoży chorobliwe zarazki.

W społeczeństwie ludzkiem to samo. Nic tak się nie mści na tempie jego pracy i wysiłków, jak jednobokość i dobieranie się pod maść. Towarzystwa wzajemnej adoracji i wzajemnego poparcia po pewnym czasie stają się trupem, niezdolnym do kontynuowania żywego, twórczego czynu.. I nigdy nie dzieje się inaczej.

Tak, jak w świecie zwierzęcym krzyżowanie ras prowadzi do udoskonalenia gatunku, tak i w świecie idei ich krzyżowanie się ze sobą rodzi idee nowe, coraz pełniejsze i doskonalsze. Społeczeństwo ludzkie to nie stado owiec, beczących zawsze w jednakowym zachwycie. Ze ścierania się nurtujących w niem prądów, dążeń i walk ideowych tworzy się tęczowa gama jego życia, gdy zaś wszystko pod jednym strychulcem, barwy giną, ustępując miejsca szarzyźnie i tępocie.

I rozpoczyna się władne panowanie zniechęcenia i obojętności. Życie się wlecze...

Takie refleksje mimowoli nasuwać się musiały niejednemu podczas obu świąt majowych. I święto robotnicze i wielkie święto narodowe, nie biorąc pod uwagę urzędowych ceremonij, wypadły blado, gnuśnie i ospale. Coś zastygło, zmartwiało. Przygasły ognie, co pełnym żarem buchały z ludzkiego tłumu, budząc entuzjazm i radość zbiorowego życia. Smutne były raczej, niż roześmiane tchnieniem wiosny i wiarą w słońce.

Źle!

Bakcyle marazmu znowu się mnożą...



PROPAGANDA CZYTANIA.... Lata długiej wojny ciężkiem brzemieniem swojem legły na wszystkich dziedzinach życia.

Odbiło się to i na zainteresowaniach twórczością duchową: na sztuce, nauce i literaturze, które z władnych pań, królujących wśród społeczeństw cywilizowanych, zeszły do roli kopciuszków, przytulanych z łaski, jak ubogie krewne.

Obraz, rzeźba, książka, pismo, nawet najtańsze i najbardziej dostępne dla wszystkich, wciąż jeszcze luksus, nie kwestja potrzeby, nie rzecz tak niecodzowna, jak spożycie chleba dla zaspokojenia fizycznego głodu.

Ciężko budzi się apetyt na te potrzeby. Jednostka powojenna dotąd przekłada plewy i sieczkę nad zdrowe i pożywne ziarno. Taki stan rzeczy na dłuższą metę słusznie budzi niepokój. Pokolenie, wzrastające wśród poniechania książek i pism, będzie nieokrzesane i cofnięte umysłowo. Karmienie się mającą popyt pornografją i gangreną świstków i odezw prowadzi do upadku obyczajów i bolszewickiego zdziczenia.

Dobrze się więc stało, że propagandą czytania zajęły się nasze oświatowe władze. Propaganda książki wśród młodzieży szkół powszechnych pono dała pocieszające rezultaty. W małych łepetynach dziecięcych ulokowano nieco drukowanej mądrości i prawdy.

Jakżeby to się przydało wszystkim!

A możeby tak zajął się kto propagandą czytania wśród starszych? Dobra książka i dobre pismo to najlepszy i najwierniejszy przyjaciel, który również zasługuje na troskę i na opiekę.

— Gdy się ktoś zaczyta, zawsze albo się czegoś nauczy, albo zapomni o tem, co mu dolega — słusznie twierdzi Henryk Sienkiewicz.

Famulus.

Z mojej karjery... Wywiad XIV

Maciej Wierzbiński

Zdolności literackie odziedziczył Maciej Wierzbiński po swoim ojcu, Władysławie, znanym, wolnościowym działaczu wilkopolskim, b. redaktorze „Dziennika Poznańskiego".

Jego powieści satyryczno-obyczajowe „Dolar i Spółka", „Oaza miłości", „Pod Mysią Wieżą", spotkały się z wielkiem uznaniem krytyki.

Inne jego utwory, oparte na odtworzeniu dążeń i ruchów wolnościowych z r. 1846, pełne doskonale przedstawionych scen batalistycznych, przepojone są nienawiścią do Niemców, nic przeto dziwnego, że autor, podobnie myślący, musiał z tej przyczyny kilkakrotnie odsiadywać więzienie.

Pan M. Wierzbiński, z wykształcenia handlowiec a z zamiłowania i talentu literat, o swojej karjerze opowiada co następuje:

— Po ukończeniu uniwersytetu w Berlinie, jako handlowiec, przebywałem w Belgji, skąd po pewnym czasie przeniosłem się do Anglji.

Zajmowałem się wówczas importem towarów francuskich, mieszkając, oczywiście, w Londynie.

Było to przed trzydziestu laty. Mając zamiłowania literackie, dotarłem do londyńskich kół literacko-publicystycznych, gdzie znany i ceniony nowelista Rudolf Dirks zaproponował mi współpracę w mającym się wkrótce ukazać almanachu-kalendarzu. Napisałem tam coś niecoś ze spraw teatralnych. To, co napisałem o teatrze, podobało się redaktorom niedzielnego pisma „Sunday Special", którzy zaangażowali mnie na stanowisko referenta teatralnego. Na tem stanowisku zarabiałem bardzo dużo pieniędzy, pracując jednak wiele. Normalnie pracę swoją kończyłem o godzinie 2 po północy w klubie, gdyż wracać do domu a potem do redakcji nie opłacało się. Po za „Sunday



MACIEJ WIERZBIŃSKI

Utalentowany powieściopisarz i nowelista

Special" pisywałem również i do innych wydawnictw, miesięczników i tygodników.

Pierwszą moją nowelką była „The Clown", którą drukowano w „The Sawoy", gdzie równocześnie pisałem także krytyki literackie.

Po dziesięcioletnim pobycie w Anglji wróciłem w moje rodzinne strony, do Poznańskego, gdzie objąłem redakcję tygodnika „Prawda". Rezultatem tej mojej pracy redaktorskiej było 20-miesięczne więzienie we Wronkach, pod Poznaniem, którego odsiadywanie dało mi możność napisania całej masy nowel.

Po opuszczeniu więzienia zamieszkiwałem w Zakopanem, gdzie uporządkowałem napisane w więzieniu utwory i pod ogólnym tytułem „Siostra Felicja" wysłałem je do redaktora „Bibljoteki Warszawskiej" śp Henkla, doradcy, że się tak wyrażę, Henryka Sienkiewicza.

Henklowi nowele moje bardzo się podobały, o czem zawiadomił mnie listem, pełnym pochwał i uznania. Wziąłem się potem za przetłumaczenie na język polski nowel napisanych w swoim czasie po angielsku.

To samo stało się z „The Clown", którego przetłumaczyłem na „Błazna" i wydałem następnie po polsku.

— A co pan powie o swoich powieściach?

— Napisałem ich kilka. Na pierwszem miejscu stawiam powieść „Pod Mysią Wieżą", jednak za powieściopisarza się nie uważam, uważając się za rasowego nowelistę i najbardziej dumny jestem ze zbiorku nowel „Pięść Marcina Wilczka".

— Jakich prac pana możemy się spodziewać w najbliższej przyszłości?

— Niedługo wyjdzie z druku powieść „Wolność". Treść jej będzie oparta na powstaniu wielkopolskiem. Równocześnie z powieścią opuści prasę również powieść, nosząca tytuł „Wielka gra". Wkrótce zaraz po świętach Wielkiej Nocy odbędzie się w Krakowie premjera mojej komedji p. t. „Hrabina Olesia".

Następnie na dłuższy czas jadę na Górny Śląsk, gdzie zbierać będę materjały do powieści, opartej na tle powstań górno-śląskich...

Rozmowa była skończona.

Podziękowałem autorowi pięknych nowel, życząc mu serdecznie owocnych poszukiwań na Górnym Śląsku, który czeka jeszcze na swoją epopeję w każdym rodzaju twórczości literackiej.

M. G.

W serji wywiadów p. t. „Z mojej karjery" zabrali głos dotąd: Zygmunt Bartkiewicz, Gustaw Daniłowski, Wacław Grubiński, Aleksander Kraus har, Zofja Nałkowska, Stanisław Przybyszewski, Zuzanna Rabska Marja Rodziewiczówna, Juljan A. Święcicki, Wacław Sieroszewski, Andrzej Strug, Karin Michaelis.



Zacną była matroną pani Tytusowa Działyńska, typ wręcz przeciwny ukochanemu zresztą mężowi, awanturnikowi i cholernikowi (zmarł na udar serca).

Pan Tytus wiecznie robił przytyki małżonce z powodu skrajnej jej pobożności, zakrawającej wprost na bigoterję. Gdy pewnego razu zastał ją za krosienkami, jak pilnie haftowała jakąś suknię kościelną, w te słowa się odezwał do przyjaciela, z którym wszedł do pokoju:

— A wiesz pan, co ona robi?

— Widzę, że haft, panie hrabio, ale nie wiem, do czego.

— O to łatwo zgadnąć, mój drogi, bo żona moja jest w ostatniem stadjum — robi, zresztą, jak wszystkie: kiedy małe, stroją lalki, gdy dorosną, siebie stroją, później córki stroją, a na starość... księży.

Na długo przed zgonem cesarza Franciszka Józefa publiczną tajemnicą był w całym Wiedniu, a nawet w całej monarchji Austro-Węgierskiej stosunek jego ze znaną i świetną artystką Burg-Teatru Katarzyną Schratt, która z czasem zaślubiła p. de Kiss. Był to, zresztą, jedyny stosunek tego monarchy, trwalszy i oparty na rzeczywistem i głębszem uczuciu, i dotrwał niczem niezamącony aż do zgonu cesarza.

Jakkolwiek trudnem było, aby tego rodzaju stosunek mógł pozostać utajony, tem niemniej cesarz, dbający niezmiernie o powagę swego majestatu, starał się zachowywać pewne decorum, szczególnie wobec swych licznych krewnych i członków rodziny cesarskiej. Z drugiej strony, jako głowa rodziny i monarcha, często w sposób ostry i przykry wytykał i karcił ostatnich za różne „niestosowności“ w ich życiu prywatnem.

Gdy pewnego razu cesarz z gniewem wyrzucał arc. Leopoldowi, późniejszemu Wölflingowi, jego postępowanie i wogóle jego życie prywatne, tenże odrzekł zimno:

— No cóż, panie Schratt, zdaje mi się, że zrobisz lepiej, nie mówiąc tak dużo i tak głośno! czy ty myślisz, że my wszyscy nie wiemy o twojej poufałej przyjaźni z panią Schratt! my cię nazywamy nawet panem Schrattem.

Cesarz, oburzony wielce, nie mógł wyrzec słowa, schylił się tylko do dzwonka, który mu służył do wezwania policji tajnej.

— Nie bój się, panie Schratt, nie mam bynajmniej zamiaru zrobić ci coś złego, — rzekł arc. Leopold, poczem opuścił bez żadnej ceremonji gabinet cesarski.

Był to pierwszy krok do ostatecznego zerwania przez arc. Leopolda z rodziną cesarską, zrzeczenia się tytułu, nazwiska i praw członka rodziny.

Popularną w swoim czasie osobistością był Ignacy Chłapowski, dziedzic na Bagrowie w Wielkopolsce. Lubiano go powszechnie z powodu dowcipów, które z właściwą sobie wymową, rozwlekając wyrazy i akcentując pojedyńcze sylaby, zwykł sypać na wszystkie strony. Często dowcipy te przybierały ostrą formę, Chłapowski bowiem, jak to wielu ludziom się zdarza, był przedewszystkiem ironistą, spokojnie drwiącym ze wszystkiego.

Opowiadano, że, gdy pierwsza jego żona, Ludwika, w młodym będąc jeszcze wieku, umierała na suchoty, stał nad nią, załamując ręce, i wołał:

— La-wis-ka, La-wis-ka, z tobą bardzo źle, bo ci już skrzypki w piersiach grają.

Gdy zmarła, schronił się do swego pokoju, zalewając się łzami, i tu go zastał służący, jak pilnie opatrywał flintę.

Stary służący, sądząc, że pan jego w zapamiętaniu targnąć się chce na życie — przyskoczył, broń próbując wydrzeć.

— Głupiś — rzecze pan Ignacy — nic nie wiesz nigdy i niczego nie możesz się domyśleć. Pani umarła, będzie pogrzeb, i goście się zjadą — to trzeba choć parę kotów ustrzelić.

Pewnego razu zmarły król belgijski Leopold II, bawiąc na Jasnym Brzegu, wracał z wycieczki z przylądka Antibes w towarzystwie szambelana bar. de Snoy i nieodłącznego francuskiego komisarza tajnej policji Paolego, delegowanego do towarzyszenia przebywającym we Francji ukoronowanym gościom zagranicznym. Przechodząc około wspaniałego parku, otoczonego dość wysokim murem, król zapytał Paolego:

— Czyja to własność?

— Jakiegoś Anglika, Wasza Królewska Mość, — odrzekł Paoli, — który tu nigdy, zresztą, nie bywa.

— Mamy więc czas zwiedzić, — rzekł król, — proszę sprowadzić ogrodnika.

Poczęto szukać ogrodnika, bądź dozorcy, ale nie znaleziono nikogo, tymczasem otwarta brama jakby zapraszała do wejścia.

Król więc z towarzyszami wszedł do parku i zabawił tam z godzinę, zachwycając się rzeczywiście nad wyraz pięknym parkiem. Gdy chciano wyjść tą samą bramą, znaleziono ją zamkniętą. Naokoło nie było nikogo. Król zaczął się niecierpliwić, wobec czego jeden z pomocników Paolego, ratując sytuację, wynalazł stojącą gdzieś drabinę i przystawił ją do muru.

— Najjaśniejszy Panie, — zaryzykował — w braku czegoś lepszego, może w ten sposób wydostaniemy się.

Król kiwnął głową, wobec czego wdrapał się po drabinie pierwszy bar. Snoy, po nim Paoli, za nim król, lecz gdy za królem wstąpił na drabinę ciężki Olivi (pomocnik Paolego), drabina obsunęła się i odwrót został odcięty.

Katastrofa! Król Belgów na murze okrakiem, jak na koniu! Ileż znowu powodów do plotek i karykatur. Olivi jednak po raz wtóry rozwiązał trudny problemat. Będąc młodym i zręcznym, zeskoczył na ziemię.

— Wyglądamy na włamywaczy! — zaśmiał się król, obsuwając się na jego barczyste ramiona.

Tak szczęśliwie zakończyła się ta komiczna sytuacja, w której się znalazł król Leopold II, tak bardzo dbający o swój „prestige“ i majestat, który chwilowo zawisł na... murze.

*

Przymówki na maj

Gdy w maju szron,
będzie bujny plon...

Święta Zofija
pąki rozwija...

Pogoda na Urbana
to wielka wygrana...

EUGENJA SOLSKA

Przy maszynie

Kasia Kryńska przyszła do banku, jak zwykle, pierwsza. Machinalnie powiesiła palto i kapelusz na szaragach, poczem według zwyczaju zażądała od woźnego „listy obecności" i wpisała automatycznie swoje nazwisko. Szybko poprawiła włosy przed lusterkiem w szatni i przeszła półciemnym korytarzem do sali „korespondencyjnej".

Panowała tam jeszcze zupełna cisza.

Kasia patrzała na maszyny, jak na dobrych, starych znajomych. Każdą z nich znała długo i dokładnie. Wiedziała, że podstarzały skrzypiący „Remington" ma zepsute dwa tabulatory, i że mały, płaski „Orzeł" nie wybija litery „f". Kasia przy każdej z tych maszyn jakiś czas pracowała, z każdą łączyło ją jakieś wspomnienie. Wreszcie podeszła do swej własnej maszyny, nowiuteńkiego, wyczyszczonego, lśniącego „Underdwooda" i ogarnęła go spojrzeniem, pełnem tkliwości. Maszynę tę przyniesiono do banku dopiero pół roku temu, właśnie tego dnia, kiedy Lutek awansował z prokurenta na dyrektora. Kasia pamięta, że wszyscy urzędnicy po kolei winszowali koledze nowej godności, kiedy woźny oznajmił nagle:

— Przyniesiono nową maszynę do pisania.

Naturalnie, każda urzędniczka chciała pisać na niej. Ale nowomianowany dyrektor zadecydował:

—Na tym „Underwoodzie" będzie pisała nasza panna Kasia. Ona najdłużej pracuje w banku i najlepiej pisze.

I nikt już nie protestował, bo wszyscy potrosze domyślali się, co łączyło nowomianowanego dyrektora z „naszą", a raczej z jego panną Kasią.

Kasia była wtedy bardzo szczęśliwa z nowego stanowiska Lutka, i z nowej maszyny, i z tego, że Lutek, odchodząc do swego gabinetu, powiedział do niej szeptem:

— Kochanie, teraz już niedługo czekać będziemy...

Na nowej maszynie pisała z jeszcze większą szybkością i jeszcze większym zapałem, niż dawniej, jakby jej się zdawało, że, im prędzej będzie stukała, tem prędzej minie czas, dzielący ją i Lutka od upragnionego celu.

I czas mijał, a potem wszystko się zmieniło...

Kasia pamięta, jak do pokoju „korespondencji" wszedł dyrektor Woyna w towarzystwie jakiejś wysokiej, eleganckiej brunetki o mocno wymalowanych ustach i powiedział:

— Pozwolą sobie, panie, przedstawić nową koleżankę. Zaangażowaliśmy pannę Dembowską na korespondentkę działu wekslowego.

Z temi słowami dyrektor Woyna opuścił pokój.

Nowa urzędniczka nie czuła się wcale onieśmielona, jak inne, które pierwszy raz przychodzą do nowej instytucji. Po kilku chwilach usiadła przy przeznaczonej dla niej maszynie, zapytała pannę Ziutę, gdzie kupiła takie śliczne lakierki, obiecała pannie Irenie pomoc przy liczeniu kolumn cyfr, i zdawało się, jakby pracowała już w banku od dłuższego czasu. Jeszcze prędzej zaprzyjaźniła się ze wszystkimi kolegami. Poprostu nieprawdopodobnie szybko.

Jedynie stary woźny Jan patrzał się na nią z godnością i zgóry, mrucząc pod nosem:

— Lafirynda!

Kasia od pierwszej chwili nie taiła antypatji do nowej koleżanki. Z początku nie wiedziała właściwie, dlaczego tak nie lubi tej dziewczyny, która wszelkiemi sposobami starała się do niej zbliżyć. Potem jednak, kiedy siedziała raz z Lutkiem w kinie, Lutek zwrócił uwagę na jakąś artystkę i rzekł:

— Jaka podobna do panny Janiny.

Kasia twierdziła, że żadnego podobieństwa niema i tak zeszła rozmowa na pannę Janinę. Naturalnie, że wtedy pierwszy raz się pokłócili. Nazajutrz w banku Lutek nie poprosił do stenografowania Kasi, lecz pannę Janinę. Potem prosił ją coraz częściej, wreszcie przestał wzywać Kasię. Poza bankiem spotykali się bardzo rzadko, a kiedy się spotykali, Lutek był zgnębiony, małomówny, to znowu taki rozdrażniony, że mówić z nim było trudno. Lutek miał też zawsze bardzo mało pieniędzy, pomimo, że pobierał teraz bardzo wysokie wynagrodzenie, a raz pożyczył w kasie sto złotych. Tego było za wiele. Kasia zapytała zdumiona, na co:

— Zgrałem się w pokera u Woynów. Tam zawsze tak wysoko grają... — brzmiała odpowiedź.

Nazajutrz w banku opowiedziała Kasi pod wielkim sekretem panna Ziuta:

— Wiesz, Kasiu, Ludwik tak się podobno zgrał przedwczoraj u Woynów w karty, że chyba licytację będą robili.

— Skąd ty wiesz o tem? — zapytała Kasia, zdziwiona.

— Dembowska mi mówiła. Jej matka jest kuzynką Woyny, i ona tam bardzo często bywa. Mówiła, że bardzo lubi grać w karty i że ostatnio miała wielką wenę. Podobno wygrała tyle, że...

Gadatliwą koleżankę odwołano do telefonu, i Kasia nie wysłuchała reszty zwierzeń. Wiedziała jednak dosyć. Probowała nawet pomówić z Lutkiem, przemówić do jego sumienia, przypomnieć wszystkie obietnice, jakie jej dawał. Ale Lutek ofuknął ją opryskliwie:

— Nie wtrącaj się. Boże, jakie wy kobiety jesteście nudne z tą waszą miłością!

W kilka dni potem Kasia dostała od niego ten straszny list, gdzie błagał o przebaczenie i dziękował za wszystko, wreszcie, kiedy Kasia po urlopie przyjechała do Warszawy, jej Lutek był już mężem panny Janiny.

Początkowo zdawało się Kasi, że nie oswoi się z tą okrutną prawdą. Chciała prosić o dymisję, opuścić bank natychmiast. Ale właśnie matka Kasi zachorowała, a brat stracił posadę. Nie wolno było jej być lekkomyślną, musiała zostać. I została. Przychodziła do banku codziennie pierwsza i wychodziła ostatnia. Patrzała na szeleszczącą jedwabiami, wyperfumowaną „dyrektorową", która kilka razy na tydzień przychodziła do męża, a zawsze podczas każdej takiej wizyty Ludwik wychodził z gabinetu blady i mówił do kasjera:

— Panie Kalinowski, proszę wyasygnować z mojego konta...

Sumy bywały różne, ale zawsze bywały. Janka wychodziła z banku roześmiana i promieniejąca, a Ludwik był coraz bledszy i bardziej przygnębiony.

— Kasia stwierdziła ostatnio, pisząc wyciągi na maszynie, że jego konto jest nietylko wyczerpane, ale i mocno zadłużone. I wtedy po raz pierwszy w łagodnem sercu Kasi zbudziła się mściwa, zła radość. Nienawidziła oboje. Ją — za to, że go jej zabrała. Jego—za zawiedzione nadzieje, za sponiewieraną miłość, za upokorzenie, za niepamięć dawnych dni. Cieszyła się, że mu „tamta" nie dała szczęścia i spokoju, życzyła, aby mu było źle, jak najgorzej. Kasia wstydziła się tego uczucia, ale nie mogła mu się oprzeć. Tylko czasami, kiedy przypominała sobie wszystkie dobre, minione chwile — było Kasi niezmiernie żal jej dawnego Lutka.

Aż wreszcie przyszedł ten dzień najokropniejszy. W banku stwierdzoną ogromną kradzież depozytów. W dyrekcji wrzało. Prokurenci potracili głowy. Woźni szeptali sobie coś po kątach. Klijenci zaczęli wycofywać powoli pieniądze.

Posądzenia były różne. Zawezwano panów z tajnej policji. Oglądali kasę, klucze, badali woźnych, urzędników, konferowali z zarządem, z dyrektorami. Nikt nic nie wiedział, choć przypuszczenia były najrozmaitsze. Tylko jedna Kasia wiedziała.

Dzisiaj właśnie miał przyjść urzędnik wydziału śledczego i zebrać ponownie świadectwa od urzędników. Z tego powodu urzędnicy uważali za stosowne spóźnić się do banku. Zegar w sali głównej bił już dziesiątą, kiedy zaczęli się schodzić.

W ostatnich dniach i tak nie było nic do roboty. Siedzieli przy stolikach i maszynach, udając, że pracują, palili papierosy, pili herbatę i prowadzili długie rozmowy ciągle na ten sam temat.

Kasia siedziała sama przy swojej maszynie. Wszystko wiedząca panna Ziuta wpadła zdyszana do sali i zawołała:

— Kasiu, obudź się, jak ci coś opowiem, nie usiedzisz na krześle, ale daj słowo, że się nikt nie dowie...

— Czekaj, czekaj Ziuta, może to samo, co i ja już wiem — wołała, wchodząc szybko za koleżanką panna Irena. — Spóźniłam się tak, bo spotkałam na ulicy jednego znajomego, którego ojciec bywa u Woynów, i ten mi opowiadał, że podejrzenie jest na...

Kasia z trudnością uwolniła się od koleżanek, założyła jakiś mało ważny list do maszyny i zaczęła go wystukiwać.

Szumiało jej w skroniach. Dochodziły ją z ulicy dzwonki tramwajów, trąbki samochodów, jakieś pogwizdywanie, turkot kół. A zewsząd w banku pełzły szepty przyciszonych rozmów, gorączkowych dysput, przypuszczeń, plotek zebranych na mieście.

O jedenastej miał przyjść urzędnik z wydziału śledczego. Kasia dygotała. Jeśli powie prawdę...

Jeżeli powie, że dwa tygodnie temu przepisywała w godzinach pozabiurowych wyciągi do bilansu i że, wychodząc na chwilę do szatni, widziała... widziała, kto odchodził od kasy z depozytami akcjowemi, kto strwożony, drżący wyszedł małem zapasowem wyjściem, ukrywając starannie plikę papierów wartościowych — wtedy Ludwik będzie stracony. Stracony w oczach swoich, w opinji banku, skazany, może, na lata więzienia za nadużycie. A Janka, dumna „dyrektorowa", będzie chodziła, jakby pod pręgierzem, każdy na ulicy obejrzy się za nią i każdy powie: „to żona tego złodzieja akcyj".

Może jednak nic nie powiedzieć. Zarząd banku, chcąc ratować opinję instytutcji, postanowił przecież w każdym wypadku gwarantować klijentom odszkodowanie, aby nie dopuścić do otwartego skandalu.

Ludwik akcyj zapewne już nie ma. Sprzedał je, aby mieć pieniądze, których mu ciągle było brak. Sprawa się zatuszuje, on będzie uratowany. Będzie to nieuczciwe wobec banku, wobec społeczeństwa, wobec własnego sumienia, ale...

Ale Kasia przecież kochała Lutka. Kochała go teraz bardziej jeszcze, kiedy był nieszczęśliwy, opuszczony, kiedy stał się ofiarą rozrzutności kobiety, która go jej zabrała. Nie przestała go kochać, nawet wtedy, w chwilach rozpaczy, kiedy go przeklinała. To nie jego wina, że ożenił się z „tamtą". Oczarowała, opętała go, jak wszystkich, a Lutek był słaby i nie mógł się oprzeć. On nigdyby nie ukradł, to „tamta" napewno go namówiła.



Lutek był uczciwy, szlachetny i zacny. Mówił zawsze, że nawet w drobiazgach trzeba uważać, by nie splamić honoru. Miał takie szczere, uczciwe oczy i najdroższy na świecie głos. Jak on to wtedy ładnie powiedział:

— Na tej maszynie będzie pisała nasza panna Kasia — a potem dodał: — Kochanie już niedługo...

Kasia zapatrzyla się w błyszczące klawisze maszyny, jakby szukając odpowiedzi na swoje wątpliwości. Zamyśliła się tak, że nie słyszała nawet, jak do pokoju wszedł stary woźny Jan i powiedział:

— Pannę Kryńską proszą do gabinetu dyrekcji.

Ocknęła się dopiero na dźwięk głosu koleżanki, która pociągnęła ją za rękaw, mówiąc:

— Kasia, do dyrekcji cię wzywają. Pewno „policjant" już przyszedł...

Wtedy wstała i chwiejnym krokiem przeszła korytarz, prowadzący do gabinetu dyrekcji. Kiedy przechodziła, ujrzała nagle we drzwiach stojącą „dyrektorową". Stała na progu roześmiana, wyperfumowana, w nowym, jasnym płaszczu i kapeluszu z fijołkami. Z gabinetu dyrekcji wychyliła się na chwilę pobladła twarz Ludka, a najdroższy głos powiedział:

— Kochanie już niedługo. Za chwileczkę, Jasiu...

W przejściu spojrzenia obu kobiet się skrzyżowały. W oczach Janki zaświecił triumf, w ciemnych, zwykle oczach Kasi zatlił się nigdy dotąd niewidziany błysk nienawiści.

Otwarły się drwi gabinetu i zamknęły się za Kasią.

Po chwili już recytowała obcym, drewnianym głosem poważnemu urzędnikowi i dyrektorom:

— Kiedy dwa tygodnie temu wychodziłam z „pozabiurówki", ktoś odchodził od kasy z depozytami zapasowem wyjściem, trzymając plikę papierów. Przyjrzałam się bliżej. Był to dyrektor Ludwik Skalski...

Pierwszy lot niemiecki nad Paryżem

Ze wspomnień uczestnika

Baczność! W stolicy rozpoczęła się wielka Wystawa Lotnicza. Nie wolno nikomu z obywateli, mających poczucie rzeczywistości, nie myśleć o obronie powietrznej państwa. Groźbie opanowania polskich przestworzy przez wroga musimy się przeciwstawić własną potęgą lotniczą.

By uzmysłowić tę potrzebę, podajemy ciekawy dokument, niedawno zamieszczony w prasie niemieckiej, gdzie znajdujemy opis wrażeń i przeżyć lotnika pruskiego, biorącego udział w pierwszem powietrznem bombardowaniu Paryża.

Nareszcie odpłacimy lotem na Paryż.

Godzina kary wybiła...

Rozpoczęto pierwsze przygotowania. Przeszło 50 wielkich bojowych samolotów jest gotowych do startu.

Plac lotniczy ożywia się, wszędzie zaczyna się ruch. Każda rzecz jest jeszcze raz ponownie sprawdzana. Wyjątkową uwagę zwrócono na motory, które już wiele drogi mają za sobą. Są to 260-konne „Mercedesy“, które już przed paru dniami były nad Dovrem i Calais, potem zaś nad Tamizą, gdzie walczyły z nieprzyjacielskiemi torpedowcami.

Trzask wystrzałów rozlega się po placu: to próba karabinów maszynowych. Wszystko drga, kipi z przejęcia.

Hen, w górze, jarzą się gwiazdy, na firmamencie nie widać wcale chmur, jest piękna, ale ciemna noc zimowa. Termometr wskazuje 8 stopni poniżej zera.

Coś pełznie przez plac. Jest to pierwsza maszyna, która ciężko sunie do miejsca, skąd ma startować. Nigdzie ani światełka.

Po paru minutach ku górze masztu pełza zielona latarka, oznaczająca start pierwszego aparatu. Jeszcze ostatnie lotnicze pozdrowienie: „szczęśliwego powrotu!“ i... pełnym gazem.

Długie warczenie podnosi się z ziemi i płynie ku górze... Noc wchłania je w siebie. Warczenie prędko zamiera, ginie gdzieś w przestworzach.

Fosforyzujący zegar wskazuje godzinę 8 minut 20.

Słabo odróżniam czarną linję horyzontu od szaro-granatowej nocy. Nerwy mamy napięte. Teraz zaczyna się pole działania „Franusia“, mojego obserwatora, który, siedząc przedemną, ledwo zarysowuje się sylwetką.

W niedługim czasie widzimy przed nami pierwsze linje, rozróżniane przez pociski oświetlające, gęsto wystrzeliwane z obu stron. W wielu miejscach jasne błyski — są to armaty, których rozmowa rozbrzmiewa daleko.

Lecimy obecnie po nad terenem wroga. Posuwamy się wciąż dalej i dalej. Na prawo pod nami płonące miasto; z tej wysokości wielkie palenisko wygląda, jak żarzący się węgiel. Wyż 3.400 metrów daje nam odczuć nieprzyjemne 24-stopniowe zimno. Wydychana para osiadła i zamarzła na szalu, otulającym głowę.

Nie było mi sądzonem nudzić się, postarał się już o to obserwator.

W oddali zabłysły pierwsze pasma reflektorów, złowrogie palce macają i przeszukują nocne niebo. Spostrzeżono nas. Zaczyna się teraz działanie obrony przeciwlotniczej. Liczne wybuchy. Pierwsze dwie smugi reflektorów przeoczają nas, inne są zato uważniejsze.

Przeszło 20 snopów świateł zaczepiło się o nas i towarzyszy nam nieustannie.

Ostrzeliwanie staje się coraz bardziej ożywione. Napewno byłoby gorzej z nami, gdyby tak w nas trafił taki pocisk, o stokroć gorzej, niż piorun.

Szybko zmieniamy kierunek i po pewnym czasie 180 kilometrów oddziela nas od tego koła czarownic. Przekraczamy wkrótce wysokość 4.000 metrów. Nasz ptak mimo swego przeszło 80-centnarowego ciężaru wznosi się coraz wyżej i czuje się bardzo dobrze. Jesteśmy obecnie w pobliżu jakiegoś większego miasta, które mimo naszej wysokości i panujących ciemności widać dokładnie nawet bez pomocy lornetki. Miasto jest doskonale zaciemnione. Przeczuli nas. Działalność obrony jest tutaj wyjątkowo intensywna, lecz my miejscowość tę omijamy bokiem. Strzały nas nie dosięgają i szukają nas po niebie. Jest to swego rodzaju rzadkie widowisko obserwować coś podobnego z góry.

Chcą nas koniecznie złapać i zniszczyć, ale bez skutku.

Jeden reflektor łapie nas, przylega do mojego aparatu... Jesteśmy oślepieni. Robi się ciemno przed oczami. Jeden ostry zakręt i już wymknęliśmy się z więzów, mogących nas usidlić. Oczy powoli nanowo przyzwyczajają się do ciemności.

Zbliżamy się do Paryża.

Na zewnętrznych fortach poczynają błyskać różnego rodzaju ognie. Są to działa różnych kalibrów. Długi rząd świateł zdradza przed nami dworzec północny. Mój obserwator, trzymając już w ręku plan Paryża, daje mi znak skręcenia na lewo, w kierunku na pierwszy objekt, mający być zbombardowanym. Wschodzący księżyc ułatwia nam orjentację. Dzielne nasze motory działają bez zarzutu, śmiga nuci swój charakterystyczny śpiew.

Go to?! Przed nami, w powietrzu migają liczne światła, kule świetlne. Przeszło pół tysiąca takich lampionów wisi nad mastem. Czy ci z dołu przygotowali na nasze przyjęcie iluminacje? Nie, oni chcą tylko nas wszystkiemi siłami zniszczyć.

Lampiony, zaopatrzone w baloniki, bujają nad Paryżem, oświetlając górne przestrzenie.

Znów rozpoczyna się działalność artylerji przeciw-lotniczej. Setki szrapneli i granatów pęka pod, nad i za nami, wśród licznych krzyżujących się świateł od skierowanych na nas reflektorów.

Długie smugi małych i większych kul świetlnych tryskają ku nam, ku górze. Są to pociski fosforyzujące, pochodzące z nieprzyjacielskich karabinów maszynowych i dział szybkostrzelnych. Dalszy lot jest niemożliwy.

Zgrzyt rączki „ruk, ruk!“ i dwa stukilogramowe powitania opuszczają w krótkich odstępach czasu swoją kamorę. Kołyszemy się gwałtownie i niezdecydowanie. Obserwator daje znak i znów lecimy do następnego celu. Znów rączka... i wypada ostatnia bomba, której jasny oślepiający błysk świadczy o zderzeniu się z ziemią.

Dług uregulowany.

Prędko zawracamy w kierunku

powrotnym. Zegar wskazuje godzinę 10 minut 10. Pełnym gazem wznoszę aparat możliwie na najwyższą wysokość, celem ominięcia niegościnnego dołu. Lecąc na wysokości 5 i pół tysiąca metrów, szybko pozostawiamy za sobą Sekwannę i Babel. Termometr wskazuje 31 stopni Celsjusza. Ponownie przeżywamy ten sam obraz, co w locie na Paryż, wraz z temi samemi niebezpieczeństwami. W świetle wrażych reflektorów widzimy aparaty kilku kolegów, powracających z nad Paryża. Motory nastawione są na 1200 obrotów. Wskaźnik wysokości powoli opada. Nie zawiodły pokładanej w sobie nadziei nasze „Mercedesy"... Niewoli i tak byśmy uniknęli, gdyż przy okoliczności lądowania wszystko kompletnie zostałoby zniszczone, i maszyna i ludzie.

Znowu widzimy front i w niedługim czasie znajdujemy się o 100 metrów ponad naszem lotniskiem—nad światłem oznaczającem miejsce lądowania. „Gaz-stop!"—lekkie wzniesienie się i gładko lądujemy.

O 4 rano wszystkie maszyny w dobrym stanie były z powrotem.

Każdy przeżył noc wrażeń.

Pierwszy planowy powietrzny atak na Paryż był udany.

Francja była jeszcze raz ostrzeżona. Tym razem już nie słowami, lecz czynem.



Śmiały skok w powietrze ze spadochronem, który dopiero ma się rozwinąć

PIOTR MAC ORLAN

Tłom. J. K.

Wielki tydzień lotniczy

— Panie, — rzekł uczciwy ten człowiek — gdyby pan był znał Samuela Clownstona, tak jak ja go znałem, wzruszyłbyś pan ramionami na wszystkie wynalazki Blériotów, Paulhandów i innych, gdyż Clownston wszystkich ich przewyższył pod względem wynalazków, a szczególniej w dziedzinie lotnictwa. Dał tego dowód podczas naszego ostatniego tygodnia lotniczego.

To on był organizatorem i twórcą tej wspaniałej manifestacji. Trzeba panu wiedzieć, że Clownston poświęcił się badaniu ciał cięższych od powietrza po wyjściu z uniwersytetu. Tak, panie, badał wszystko, cokolwiek było cięższe od powietrza, począwszy od lanego ołowiu aż do ziarnka piasku, dla pospólstwa nie mającego wcale wagi. Może pan z tego wnioskować o rozciągłości jegi wiedzy.



Po gruntownych studjach przedsięwziął budowę swego genjalnego aparatu, co się właśnie zbiegło z urządzonym wielkim tygodniem lotniczym. Wszyscy cowboye zanieśli swoje siodła do lichwiarzy, byle tylko módz wziąć udział w uroczystości.

Wszystko poszłoby, jak z płatka, gdyby nie małe przykre wydarzenie, które cokolwiek zaćmiło blask tej apoteozy.

Oto, jak się rzeczy miały...

Cały Jackson-City już w przeddzień uroczystości zebrał się na polu ćwiczeń i kiedy aparat, nazwany „Wielki Ptak", przybył, ciągniony przez 24 pary wołów, powitały go niemilknące tysiączne okrzyki.



Aparat był z pewnością najciekawszą, jaką można sobie wyobrazić odmianą aeroplanu. Był połączeniem lokomotywy i okrętu, co dowodziło niezwykłej pomysłowości Clownstona.

Jednak pilotem był nie sam wynalazca, a Edward Turnbull.

Clownston za nic nie chciał wsiąść na aparat, tłumacząc Turnbullowi:

— Ty, Edwardzie, jesteś ojcem dwudziestu i sześciorga dzieci, to mi daje rękojmię, że, pamiętny na tę gromadkę nie popełnisz żadnej nieostrożności.

Turnbull, przekonany, przyjął propozycję, lecz dowiódł zadziwiającej lekkomyślności.

Zajął miejsce, i aparat podciągnięto w górę za pomocą bloku, jakby ładunek węgla. Była to chwila jedyna w swym rodzaju, kiedy danem nam było podziwiać tę nadzwyczajną maszynę, kołyszącą się lekko w blasku słońca na 30 stóp nad ziemią. Gdy dojechała do punktu kulminacyjnego, orkiestra cowboyów zagrała „pieśń odjazdu", i na znak wynalazcy — puszczono motor.

Było to, panie, widowisko wspaniałe i niezrównane. Aeroplan stoczył się po linji prostej z szybkością, nieosiągniętą dotąd na żadnym rekordzie, wbijając się na 12 metrów wgłąb ziemi.

Wszyscy się rzucili, by na własne oczy obejrzeć, co się stało. Schodzono wgłąb otworu, żeby zobaczyć, czy Turnbull żyje, gdyż o aparat nie było żadnej obawy: był takich rozmiarów i tak solidny, że mógł wytrzymać trzydzieści takich prób.

Po godzinnem poszukiwaniu odnaleziono Turnbulla, rozczłonkowanego na 1.200 kawałków. Złożono szczątki do kosza na bieliznę i zaniesiono do sąsiedniego baru.

Clownston zdawał się być zrozpaczony. Podczas, gdy wyciągano jedną po drugiej najważniejsze części ciała lotnika, nachylił się nad lotnikiem i zapytał ze wzruszeniem:

— Mój drogi Edwardzie, czy nie masz do mnie żalu?

— Cóż znowu — odpowiedział Turnbull — jest pan tak czarujący, że niepodobna byłoby mieć do pana pretensji, ale, na Jowisza, przy pana wynalazczości, aż drżę na myśl co mi też pan gotuje za niespodziankę przy najbliższej okazji.



OTWARCIE VI MIĘDZYNARODOWYCH TARGÓW W POZNANIU



Uroczyste otwarcie VI Międzynarodowych Targów w Poznaniu odbyło się w niedzielę dnia 1-go maja. Przy wstędze widzimy: ministra Zaleskiego, ministra Kwiatkowskiego, otwierającego Targi w imieniu rządu, ministra Niezabytowskiego i dyrektora Targów p. Krzyżankiewicza.
W następnym numerze naszego pisma zamieścimy szczegółowe sprawozdanie z przebiegu uroczystości i powodzenia, jakiem się cieszyły w roku obecnym świetniej, niż kiedykolwiek, zorganizowane Targi.

15-TA Polska Państwowa Loterja Klasowa

daje grającym bardzo korzystne warunki tak pod względem wielkości, jak i ilości wygranych

Wygrywa co drugi los.

Największa główna wygrana wynosi

zł. 200.000

Ponadto w kl. V-ej premja

zł. 400.000

Popyt na losy bardzo silny

Losy do nabycia u kolektorów po cenie 40 zł. za los (w ćwiartkach po 10 zł.)



Ogólny widok placu Saskiego, gdzie odbyła się uroczysta rewja wojskowa w dniu 3-go maja.



Defilada artylerji przeciwlotniczej.



Defilada oddziału rowerzystów-skautów.



Ks. biskup Okuniewski, nowomianowany dostojnik w Pelplinie na Pomorzu.



W Krakowie odbyło się uroczyste otwarcie wystawy „Generał Bem i jego epoka" w Pałacu Sztuki wobec przedstawicieli władz, delegatów poselstwa węgierskiego oraz płk. art. Dunin-Wolskiego i mjr. Bem de Cosbana, potomka generała Bema.



W stolicy pod wysokim protcktoratem Prezydenta Rzplitej odbyło się uroczyste otwarcie Wystawy Lotniczej.



W przedłużeniu tej krypty na Wa= welu, gdzie spoczywają zwłoki Ada= ma Mickiewicza, mają spocząć spro= wadzane do kraju prochy Juljusza Słowackiego. Obaj wieszczowie na= rodu polskiego spoczywać będą obok siebie.



Wycieczka Polaków amerykańskich po wyjściu z okrętu w Gdyni na ziemi ojczystej.



Wybory do Rady miejskiej w stolicy budzą powszechne zainteresowanie. Biuro komitetu wyborczego przy pracy.



Święto robotnicze 1=go maja w stolicy: pcchód.



Fenomenalny człowiek: Marjan Dą= browski, który może przebyć 90 mi= nut zasypany w ziemi na głębokości 150 metrów.

(Z nieogłoszonych materjałów)

Z dziejów martyrologji polskiej r. 1863

X

Oskar Callier

Pierwsze piętro, wyżej, wyżej, aż na czwarte wspinam się, zasapując srodze.

Otwiera mi sam gospodarz domu, żwawy i ruchliwy profesor Oskar Callier. Oczom nie wierzę, wstyd mi zasapania się na schodach, wstyd mi kilkominutowego opóźnienia, weteran 63 roku bowiem wcale nie jest sędziwym starcem, a człowiekiem pełnym sił, wciąż oddanym żmudnej pracy leksykografji, której jest wybitnym specjalistą i autorem kilku doskonałych słowników.

Na stole leży stos korekt, pomiędzy któremi dzielnie uwija się profesor. naokoło pokoju kartoteki leksykograficzne.

To też w tej atmosferze i u tego spiżowego człowieka wywiad mój idzie przyśpieszonem tempem, pomimo, iż mówimy o wypadkach z przed 64 lat, o których jasno i zwięźle opowiada mi profesor:

— Wyrostkiem byłem, gdy, opuszczając, jak kilkudziesięciu moich kolegów ławy szkolne gimnazjum Marji Magdaleny, pociągnąłem do tworzących się w Królestwie oddziałów powstańczych. W marcu 1863 roku r. przekroczyłem granicę z bratem moim Edmundem, późniejszym naczelnikiem mazowieckim, udając się do oddziału Mieleckiego w Kazimierskich lasach. Gdy 22 marca wyruszyliśmy pochodem, natknęliśmy się na przeważające siły Moskali i, cofając się pośpiesznie, zajęliśmy pozycję w lesie. Wnet rozpoczęła się utarczka. Moskale obsadzili tartak, skąd zrazu wyparliśmy ich, przenosząc bój na bardziej otwartą pozycję. Grobla między dwoma stawami, a tuż zagroda wieśniacza, którą, gdy zajmowaliśmy, takim ogniem prażyli Moskale, że liczny drób, uwijający się po podwórzu, pokotem leżał, jak gdyby po złośliwem polowaniu.... Wszystko widzę, jakby to było wczoraj. Kilku z naszych legło podczas strzelaniny, dowództwo oddziału przeszło do mego brata, wobec ranienia Mieleckiego, ale wnet i bratu memu ciężko się dostało. Bez dowódców uległiśmy wkrótce przeważającej sile i rozsypaliśmy się po lesie, unosząc za sobą drogich rannych.

Szczęśliwie przedostałem się z powrotem w Poznańskie, skąd w maju powtórnie wyruszyłem, udając się tym razem do oddziału Raczkowskiego.

Dwa boje w czerwcu, z których jeden szczęśliwy, drugi skazujący partję naszą na rozsypkę. Tu właśnie przypomina mi się cudowny przypadek, któremu pewnie życie zawdzięczam.

O ósmej wieczorem, gdy wyczerpani forsownym marszem nocnym i po całodziennym boju zostaliśmy rozbici, znalazłem się sam na skraju lasu. Młode siły odmówiły mi posłuszeństwa. Bez tchu i bez woli siedziałem, odrętwiały na piasku, wsparty o karabin. Wtem konno wpada towarzysz mój, Mieczysław Znaniecki.

— Moskali nie widzisz? — krzyczy — uchodź!

A widząc moje wyczerpanie, zeskakuje z konia i pomaga mi wdrapać się na siodło. Nie wiem, jak to się stało, bo nigdy jeszcze na koniu nie siedziałem. Rumak mój, widocznie czemś zestraszony, zarwał się i nim mógł Znaniecki wskoczyć, poniósł przez krzaki i rowy. Oburącz uchwyciłem go za szyję, i tak parliśmy naprzód, aż niespodzianie natknąłem się na uchodzący sztab mego oddziału.

Nim zdążyłem opowiedzieć o tem zdarzeniu, martwiąc się o los usłużnego towarzysza, ujrzeliśmy na spienionym kozackim koniu... Znanieckiego.

Okazało się, że w chwili, gdy kozak miał go dosięgnąć, Moskale zastrzelili własnego jeźdźca. Chwila, a Znaniecki już siedział na przypadkowo zdobytym koniu i uszedł pościgu.

Takie to, panie, przechodziliśmy losy. Wróciłem w Poznańskie, gdzie szczęśliwie nie prześladowali mnie zbytnio Prusacy, chyba, gdy przyszło mi stawać do wojska, gdzie „moralnie" zdyskwalifikowano mnie do 1-rocznej służby.

Wielu z nas powymierało i rok każdy zabiera po kilku, ot w lutym, naprzykład, aż czterech... Obecnie pozostało nas w samym Poznaniu 20, z których senjorem jest 95-letni Szukalski.

Tu zamilkł profesor w zadumie, ale wnet, okiem rzuciwszy na piętrzące się korekty, rzucił mi z uśmiechem:

— Nic panu nowego nie opowiem i... nie wyrzucam pana, ale sam widzisz, robota czeka, dziś muszę jeszcze skorygować to i wysłać.

I znów uśmiecha się profesor, widząc jak pośpiesznie zwijam manatki, od sędziwego weterana zaczerpnąwszy nowych sił do pracy.

— A wolniej po schodach, bo się zasapiesz — rzuca mi dobrotliwie na pożegnanie.



Polscy powstańcy przy granicznych słupach ziemi ojczystej, którą zmuszeni są opuścić.

Plebiscyt „Famulusa“

Jakich kobiet nie lubią współcześni mężczyżni?
Jakich mężczyzn nie lubią współzesne kobiety?

JESTEŚCIE ŁATWOWIERNE...

Trochę komplementów, pięknych słówek, cukierkowych frazesów — i każda zaraz wierzy, że to „ona“, ta właśnie wybrana, wymarzona i wytęskniona.

Czyż tak nie jest? Każda z was nie lubi tej zdawkowej i fałszywej monety, którą bierze za prawdziwe złoto, choć szeląga nie warta.

I dlatego ten, kto łatwiej i słodziej wam prawi, ten więcej wart i uchodzi za tego sympatycznego i miłego, do którego lgną serca niewieście.

A że niejedna wychodzi na tem źle, to już nie wina tych, co to nie mówią nic, a jeżeli mówią, to szczerze i głęboko odczuwając każde wypowiedziane słowo.



Jaka szkoda, że jesteście, panie, tak łatwowierne...

Andrzej Marwicz,
Kalisz.

KOBIETA TO ZAGADKA...

Kobieta: to zagadka do nieskończoności nierozwiązana. O niej można pisać tomy: „starą piosenkę na jedną nutę — tylko słowa inne“.

Streszczam się:

Nie lubię kobiet z długiemi włosami, nie tańczących charlestona, uprawiających grę w piłkę nożną i jeżdżących na rowerze.

Tyle narazie!...

Stefan Mandowski,
Sosnowiec.



—Co ty kulejesz, Rozenblum?

— Buciki mam ciasne.

— To czemu innych nie włożysz?

— Widzisz, żona mi już obrzydła, dzieci są nieznośne, weksle protestują, plajta we wszystkiem — no, to jak zdemuję buty wieczorem, mam chociaż jedną przyjemność.

BEZ OSTATNIEGO SŁOWA

— Sędzia: — Jakie były ostatnie słowa męża pani?

Wdowa: — Pan sędzia wybaczy, ale mój mąż nie miał nigdy ostatniego słowa.

W KRAJU PAPUASÓW

Podróżnik: — Nie widzieliście mego przyjaciela?

Papuas: (oblizując się): — Ostatni raz widziałem go przed śniadaniem.

W SZKOLE

— Indjanie, idąc na wojnę, malują się.

— Panie profesorze! To moja mamusia też pójdzie na wojnę?

KATARZYNA SIĘ BRONI

Sędzia gminny do oskarżonej: — Katarzyno Durdziel, podrapaliście do krwi własnego męża. Czy nie wiecie, że mężowi należy się szacunek, że to głowa wasza?

— Przewielebny sądzie! Ja to wim, ale czy to nie wolno po własnej głowie się podrapać?



— Napisze mi pan nowelkę. Dużo morderstw — nieograniczona liczba morderstw. Słowem coś żywego.



— Dokuczyła mi żona: dzień i noc tylko pieniędzy woła.

— Co ona może z niemi robić?

— Co ona robi, to ja nie wiem, bo ja jej nic nie daję.

DOBRA RADA.

— Co to może być, doktorze, że potem, gdy zjem coś, zaraz mi się chce spać. Co mam zrobić, żeby nie zasnąć przy stole?

— Poprostu pójść do łóżka.

ŚWIĘTO

— Pan wczoraj nie był w biurze...

— Teściowa mi umarła.

— Pan zawsze sobie jakieś święta wynajduje.



Adrjanna Lecouvreur

Osiemdziesiąt lat życia scenicznego przetrwała sztuka Scribe'a o legendzie nieśmiertelnej Adrjanny Lecouvreur, wielkiej artystki dramatycznej Komedji Francuskiej i prawdziwej męczennicy miłości i sztuki.

Istotnie, smutne, pełne zawodów życie miała ta genjalna aktorka o wielkiem sercu. Jako piętnastoletnie dziewczę, Adrjanna, córka rzemieślnika, już od najmłodszych lat, opanowana urokiem sztuki teatralnej, zbiera gromadkę swoich rówieśników i gra tak, że Komedja Francuska zmuszona jest położyć kres tej konkurencji i przy pomocy policji wypędza ją z Paryża. Działo się to w tych czasach, gdy zawód aktora był traktowany, jak przestępstwo moralne i kryminalne. Następują lata tułaczki prowincjonalnej, aż Adrjanna ma szczęście wystąpić w Komedji Francuskiej po odebraniu szkoły... jedynie tylko zawodów miłosnych.

I ta sama Adrjanna, bezwstydnie wypędzona z Paryża, czyni przewrót w ówczesnej szkole i stylu gry scenicznej, zmieniając deklamację i patos na prostotę i uczucie. Zrazu zyskuje sobie uznanie wszystkich sfer i siłą swego czaru buduje most między sceną a światem „ludzi". Garnie się do niej, co jest najświetniejszego w Paryżu. Prowadzi dom otwarty, kocha się w zbytku, strojach, w klejnotach. Oczywista, nie w cnocie wiedzie Adrjanna taki luksus życia. I choć zmienia kochanków często, czyni to z wybredną ostrożnością. Jednym z nich był Wolter.

I wreszcie, jak to bywa prawie zawsze z aktorkami, u szczytu swej sławy dostaje się w szpony plugawego apasza. Dla niego sprzedaje swoje przebogate klejnoty, aby finansować jakąś wyprawę po koronę kurlandzką. Przy tym awanturniku Adrjanna przeżywa wszystkie rozkosze i cierpienia kobiety. Trawi się lata całe tęsknotą dla jednej krótkiej chwili szczęścia. Z całem poświęceniem, z ofiarą swego mienia stara się wywyższyć swego kochanka, truje się zazdrością i cierpi aż do śmierci, a w tem cierpieniu jej genjusz aktorski dojrzewa i wzbija się na szczyty. I w końcu, zniósłszy wszystkie te udręki, ginie otruta przez swą rywalkę, księżnę de Bouillon (z domu księżniczka Lotaryńska, synowa wnuczki Sobieskiego), nie wiedząc nawet, że kochanek był nawpół świadomym wspólnikiem tej zbrodni. Nawet na łożu śmierci, odmawiając przyjęcia ostatniej pociechy religijnej, Adrjanna mówi, wskazując na portret Maurycego Saskiego, swego kochanka: „Oto mój świat, nadzieja, oto bogi moje"...

I odrąd zaczęła się tworzyć legenda o Adrjannie. Imię jej nie zginęło, nie przeszło w niepamięć, jest trwale i daje trwałość wszystkiemu, co się snuło koło niej. I oto dlaczego mija ośmdziesiąt lat życia sztuki Scribe'a.

Odmówiono jej pogrzebu, jak każdej aktorce owych czasów, która się nie wyrzekła swego zawodu. Ciało wywieziono w nocy na dorożce i pochowano nad Sekwaną w ziemi, gdzie chowano psy. Wolter, dawny jej przyjaciel i kochanek, napisał elegję, pełną wzruszenia i oburzenia.

Ale choć imię Adrjanny jest dla nas zawsze pełne wdzięku, utwór Scribe'a z biegiem czasu wyblakł. Jego sztuka posiada za dużo zręczności, która dziś się już zestarzała. Za mało jest w niej głosu ludzkiego, za mało prawdy. Maurycy Saski został przez Scribe'a mocno uszlachetniony, uczynił z niego ofiarę intryg i plotek i zatarł całkowicie cechy charakteru ciemnego awanturnika, przeniósłszy cały ciężar intrygi dramatu na księżnę de Bouillon.

Wystawienie „Adrjanny Lecouvreur" to jeszcze jedna szczęśliwa karta w dziejach teatru Polskiego. Istotnie, trudno o sztukę bardziej frapującą, niż ten teatr, grany w teatrze. Prawdziwy triumf święciła p. Przybyłko-Potocka, kreując z maestrą rolę Adrjanny. Przeżywać na scenie całą gamę cierpień swojej wielkiej poprzedniczki, to, naprawdę, coś więcej, niż każda inna rola. Adrjanna p. Przybyłko — to kreacja niezapomniana. Obok niej bardzo stylowy był Stanisławski w roli Michonnet'a, p. Boelke doskonały, jako awanturniczy Maurycy Saski, pani Sulima, jako dumna i mściwa księżna, i wreszcie Daczyński, jako wścibski goguś.

Niezwykle staranna była reżyserja p. Borowskiego. M. S.

WĘDRÓWKI TRUP TEATRALNYCH

Teatr w ostatnich czasach przeżywa ciężki kryzys. Nie zastanawiając się w tem miejscu nad przyczyną tego zjawiska, pragniemy pocieszyć się zaradczością naszych zachodnich sąsiadów, tak często (może zbyt często nawet!) natchnionych praktycznymi pomysłami.

Oto bowiem, gdy w Berlinie kilka teatrów zamknęło swoje podwoje, skazując artystów na bezrobocie, minister pracy potrafił znaleźć znakomite wyjście z sytuacji.

Pan minister zaangażował w dość szczególny sposób aktorów, z których utworzono 6 samodzielnych trup. Postawiono im za zadanie objeżdżanie nietylko poważnych centrów prowincji, ale również pomniejszych miejscowości. Przyczem pomoc rządowa wyrażała się tylko w udzieleniu gratisowych przejazdów.

Trupy radzić sobie musiały na miejscu wszelkiemi sposobami, uciekając się nawet do prymitywnej kwesty wśród widzów.

Powodzenie tych imprez było znakomite, trupa stołeczna jest bowiem zawsze atrakcją dla prowincji, a wędrując z miejsca na miejsce, nie stanowi konkurencji dla lokalnych sił artystycznych.

Pomysł wcale niezły, wymaga jednak pewnego posłuchu dla inicjatywy władz rządowych... no i samej inicjatywy.

KRYTYKI MUZYCZNE CLAUDE DEBUSSY'EGO

Wielki impresjonista muzyczny, którego dzieła tchną tak swoistą indywidualnością dał się poznać nie tylko ze swych kompozycji, ale też z wielu ciekawych krytyk muzycznych, które chętnie pomieszczają organy prasy francuskiej. Krytyki te, stanowiące niezmiernie cenny przyczynek do zrozumienia oryginalnych poglądów Debussy'ego na estetykę muzyczną i tłomaczące tem samem własną jego twórczość, zostały umiejętnie zebrane przez L. Vallas'a i wydane w oddzielnym antologicznym tomie.

W książce tej znajdujemy bogate studjum na najrozmaitsze tematy z dziedziny muzyki: o zadaniu krytyki, o dydaktycznem znaczeniu przyrody, o niezależności muzyki, o słuchaczach, o dyrygentach, o zasadach kompozycji i t. d. i t. d.

Zwracając się do innych muzyków, Debussy przedewszystkiem nawołuje, by całkowicie poddali się przyrodzie i w niej doszukiwali się zasad konstrukcyjnych, w przyrodzie bowiem jedynie zawiera się prawda, bez której niema sztuki. Twórczość muzyczna napróżno starała się opierać równowagę na geo-

Sax Romer

„Zaczarowana harfa“

Nowość! *Żądać wszędzie!*

metrji i symetrji. Czyż przyroda nie daje nam przykładów, iż symetrja jest zbędna dla piękna i harmonji? Czyż grupa drzew nie może być harmonijnie piękną, nawet jeśli nie jest strzyżoną w szpaler aleją? Odważnie też twierdzi Debussy, iż Berlioz, nie posiadając poczucia przyrody, „nosił się ze swoją nostalgją, jak w sklepie ze sztucznemi kwiatami“. Oryginalnem jest twierdzenie, iż muzyk, opisujący krajobraz, doskonale radzi sobie z jego elementami, „które literatura zasusza pomiędzy kartami książki“.

Namiętnie zwalczając klasyków, nie posiadają bowiem, jak twierdzi Debussy, najmniejszego kontaktu z przyrodą, oskarża ich o nadętą stylizację piękna, która z biegiem czasu przeszła u romantyków w przesadę skomplikowanej formy, nie mówiąc już o modernistach, których nazywa tylko „rzekomymi reformatorami“, „bizantyjskimi ślusarzami“, lubującymi się wyłącznie w pretensjonalnych łamigłówkach.

Więcej prostoty! — nawołuje Debussy współczesnych, rzucając im rubaszne wyzwanie: „nadają wam szumne epitety, podczas gdy jesteście tylko przebiegłymi, czemś pośredniem pomiędzy małpą a sługą“.

Krytyki Debussy'ego, których podaliśmy najbardziej charakterystyczne momenty, są, jak widzimy, równie ciekawe, jak jego tak samorodna twórczość.

Z FILHARMONJI WARSZAWSKIEJ.

Solistą ostatniego koncertu symfonicznego był znów p. Grzegorz Ginzburg, laureat konkursu szopenowskiego, i zagrał koncert fortepjanowy b=mol, Czajkowskiego. Zarówno osoba koncertanta, jak i wykonany tego wieczoru poemat symfoniczny „Ekstaza“ Skrjabina ściągnęła do Filharmonji tę specyficzną publiczność, która potrafi szaleć za wszystkiem, co jest rosyjskie.

Nie znaczy to jednak, aby wieczór symfoniczny był udany. Daleko mu było do tego.

W pierwszym rzędzie wykonanie koncertu fortepjanowego Czajkowskiego przez p. Ginzburga było słabe w znaczeniu dźwiękowego nasilenia. Było w jego interpretacji może dużo lirycznego wyrazu, ale całość wykonania była zaledwie chłopięca. Ponadto wrażenie psuł fatalny akompanjament orkiestry, prowadzonej przez p. Młynarskiego: tempa chwiejne, nierówne, zbyt często goniące za solistą i odwrotnie.

Wogóle, p. Młynarski przy pulpicie estradowym czyni wrażenie albo zmęczonego już dyrygenta, lub też prowadzącego zespół orkiestrowy z jakąś niedającą się niczem usprawiedliwić nonszalancją. Dla tej przyczyny bardzo blado wypadły dwa przepiękne poematy symfoniczne „Nevermore“, Morawskiego i „Ekstaza“, Skrjabina.

Emes.



Pawilon zdobnictwa polskiego na trwającej obecnie wystawie międzynarodowej w Lille we Francji budzi powszechne zainteresowanie, popularyzując sztukę stosowaną polską.



KONKURSY HIPPICZNE W NICEI

Tegoroczne konkursy hippiczne były, jak zgodnie twierdzi prasa francuska i włoska „największem wydarzeniem w sporcie hippicznym lat ostatnich".

Siedem narodów Europy, przysłało doskonale wytrenowane i wyekwipowane drużyny jeździeckie.

Polacy byli podobnie jak i w latach ubiegłych okrasą i solą konkursów.

Drużyna polska, dotychczasowy „benjaminek" konkursów, której zwycięstwa przyjmowano dotychczas przychylnie, choć z uśmiechem niedowierzania, w opinji, wyrażonej przez prasę codzienną, pisma fachowe, oraz w opinji stałych bywalców i znawców sportu hippicznego, została postawiona na pierwszem miejscu.

Ujemną stroną naszej ekipy nicejskiej stanowią konie, które choć są końmi pełnej krwi, jednakże daleko odbiegają one jeszcze od wspaniałych „folblutów" międzynarodowej klasy, jakiemi szczycą się drużyny Anglji, Francji, Belgji, czy Włoch.

Przytem wiele koni, należących do drużyny polskiej, rozpoczęło swą „karjerę" hippiczną bardzo niedawno. Nie mają one ani dostatecznego treningu, ani „obycia" konkursowego.

Młode, „nieobyte" konie, na których jeździli — mjr. Toczek i rtm. Królikiewicz były główną przyczyną niepowodzeń naszych asów hippicznych.

Mimo to jeźdźcy nasi wywalczyli wśród elity jeździeckiej świata pięć pierwszych nagród, trzy drugie, jedną trzecią, wiele zaszczytnych miejsc, dwa puhary, wiele pięknych nagród i wstęg honorowych.

W ostatnim dniu zawodów w konkursie drużynowym (po 4-ch oficerów) o Puhar Narodów, drużyna polska zajęła szóste miejsce przed Holandją, a po Anglji, Belgji Francji, Hiszpanji, Włochach.

Do konkurencji tej nie mamy szczęścia. Drużyna nasza nigdy nie zajęła lepszego miejsca.

W ogólnej punktacji pierwsze miejsce zajęła drużyna Francji, drugie Polska, trzecie Anglja, czwarte Belgja, piąte Włochy, szóste Hiszpanja, siódme Holandja.

FUNDUSZ NA WYJAZD FREYERA.

Zainicjonowana przez inż. Christelbauera zbiórka na koszt wyjazdu „polskiego Nurmiego" do Skandynawji posuwa się naprzód. Zebrano już, jak podaje „Przegląd Sportowy", 593 złote.

ZAWODY STRZELECKIE.

Dn. 14 i 15 maja, na strzelnicy toruńskiej odbędą się trzecie doroczne narodowe zawody strzeleckie Program zawodów obejmie trzy działy: 1) zawody główne. 2) zawody myśliwskie. 3) strzelanie ćwiczebne. Zawody główne dzielą się z kolei na trzy grupy: A) broń długa, B) broń krótka, C) broń małokalibrowa.

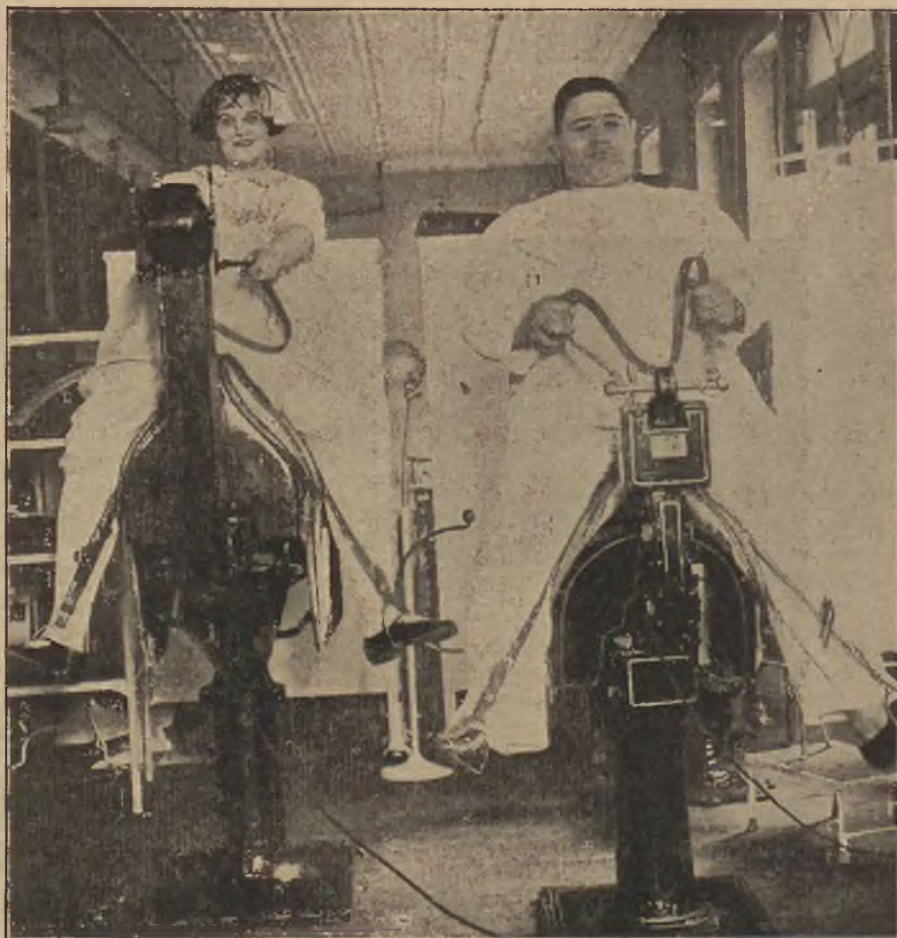
W dziale I-ym i II-gim zawodnicy będą walczyć o tytuły mistrzów Polski, a mianowicie: w broni długiej — dystans 300 mtr.; broni krótkiej — wojskowej, dystans 20 mtr.; dowolnej, dystans 50 mtr.; w broni małokalibrowej— seniorów, dystans 50 mtr.; juniorów, dystans 25 mtr.; pań dystans 50 mtr.; w broni myśliwskiej — strzał do jelenia pojedyńczy i podwójny, obu dystans 100 mtr. i wreszcie — w strzelaniu do rzutków, dystans 15 mtr.

Zawody odbędą się pod protektoratem Pana Prezydenta Rzplitej prof Ignacego Mościckiego.

AUTOMOBILIZM

W wyścigach szybkości w Łodzi urzadzanych dn. 15 maja r. b. na szosie Konstantynów — Zgierz wezmą udział najszybsi kierowcy warszawscy: inż. Henryk Liefeld oraz dyr. Janusz Regulski. Ponadto z jeźdźców stołecznych w wyścigu łódzkim startować będą jeszcze pp. Potocki, Marchlewska, Seńkowski, Szwarcstein, Morsztyn i Rahnfeld.

Wyścigi odbędą się ze startu stojącego na odcinku prostej długości około 6-ciu klm. Dotychczas ofiarowali nagrody: Automobilklub Polski za największą szybkość bezwzględną, oraz Łódzki Klub Automobilowy za największą szybkość.



Dziś nauczyć się jazdy może nawet kawalerzysta o wadze.. 150 klg. na „koniu elektrycznym".



Z toru wyścigowego: Różnie bywa...

BOKS.

Zawody bokserskie w Katowicach, dały zupełnie niespodziewane rezultaty.

Wende, mistrz Polski na rok 1927, został pokonany w 1 rundzie knock-outem przez Wachnika z Boxing-Clubu.

Również klęską mistrza Polski r. 1927 Arskiego (z K. S. Warta) zakończyło się jego spotkanie z Klarowiczem z Król.-Huty. Poznaniak Arski, w pierwszych sekundach walki rozciągnięty został ciosem sierpowym.

TENNIS.

Bawi chwilowo w Warszawie doskonały tennisista polski, p. Edw. Kleinadel.

P. Kleinadel wraz ze swoją żoną Francuską, również tennisistką, zabawi w Polsce 3 tygodnie.

Najbliższą rozgrywką, w której p. Kleinadel weźmie udział, będzie w Brukseli mecz Belgja — Polska o puhar Davisa.

KILKA SŁÓW O WYŚCIGACH PIESZYCH.

Nie mówiąc o konieczności stosowania specjalnego regime'u w życiu codziennem: normowanie snu i odżywiania, zaprzestania palenia i picia, należy przedewszystkiem zabiegać o wyrobienie stalowej muskulatury nóg.

Gimnastyka szwedzka, wykonywana w pozycji leżącej, rozwija mięśnie rąk i tułowia.

Amerykański trener, W. Georges, stosuje ponadto ciekawy, a zarazem prosty system dla mięśni nóg:

Dwie proste równoległe w odległości 20 cm. jedna od drugiej oznaczają pozycję, którą sportsman zajmuje, stojąc na palcach, tak się trzymając, jak gdyby nagle zamarł w biegu. W tej pozycji Georges rozpoczynał bieg na miejscu, skacząc to na palcach prawej, to na palcach lewej nogi, podnosząc kolano do poziomu biodra.

Dwadzieścia do trzydziestu razy na każdej nodze, przyczem zalecał ruch rękami z przodu do tyłu.

Sportsman musi zdać sobie dokładnie sprawę z klasy, do której kondycja go przeznacza, przy czem każdy dystans-klasa wymaga specjalnego treningu.

Dla jednych ważką jest rzeczą zająć odpowiednie miejsce odrazu przy starcie. Stanowi to o powodzeniu całego wyścigu. Zgięty do ziemi, obiema rękami opierając się na linji startu, przy czem cały ciężar ciała spoczywa na lewej nodze, prawa zaś, w tył wyciągnięta, służy do utrzymania równowagi—zawodnik oczekuje sygnału. Na komendę „baczność“ wdycha w siebie jaknajwiększy zapas powietrza, koncentruje uwagę, by na znak startera jednym potężnym skokiem odsadzić się jaknajdalej.

Dłuższy wyścig wymaga ciągłej autokontroli co do osiąganej szybkości biegu.

Przy treningu sportsman każe sobie komunikować co kilometr, z jaką biegnie szybkością, by móc osiągnąć pełną harmonję między kierującym mózgiem i zautomatyzowanymi mięśniami. W ten sposób dokładnie zdaje sobie sprawę z wysiłku, który musi wydobyć w różnych fazach biegu.

NAJWIĘKSZĄ RADOŚĆ SPRAWIAJĄ DZIECIOM
Zł. 1
KSIĄŻKI RÓŻOWE
DLA MŁODSZYCH DZIECI
KSIĄŻKI BŁĘKITNE
DLA STARSZYCH DZIECI
W prenumeracie tom zł. jeden
Redakcja i Administracja:
— KSIĘGARNIA E. WENDE i S-ka —
Warszawa, Krak.-Przedmieście Nr. 9

CZYTELNIA NOWOŚCI
J. KOZŁOWSKIEJ
LETNISKO, MILANÓWEK
Miesiąc czytania za 2 zł.



Krakowski „Sokół“ urządza udatne popisy gimnastyczne.



Strój ten, a właściwie komplet wiosenny, żurnale zwą „mundurem". Słusznie pewnie, gdyż dziwny wspólny mianownik, mało w szczegółach różniący się, przypadł do gustu naszym paniom, jednostajność, która szczególnie odbija się w strojach spacerowych.

Mundur, jeśli go tak nazywać i my będziemy, składa się z płaszcza, długiego prawie i zdobnego w pikowane plisy, i ze spódniczki na cztery z przodu grupowane fałdy z materjału zwanego „crepella". Parę niewidocznych guziczków łączy spódniczkę z czemś w rodzaju bluzki w plisy, podobne do płaszcza (u góry na prawo). Na tę bluzkę wkłada się sweater z „Djersakasch", (w drugim rzędzie na lewo), lub rodzaj kurtki z crêpe de chine'u w kwiatki. Bardziej strojna kombinacja przewiduje takiego samego rodzaju spódniczkę z crêpe de chine'u w kwiatki (deseń drukowany). Mała chustka na szyję lub na biodra, kapelusik ze słomki „picot" dopełniają całość tego mundurka.





Kosmetyka

RZECZ O ZMARSZCZKACH

I

Zmarszczki są największą bolączką każdej osoby, a szczególnie płci pięknej. Zmarszczki powstają z różnych powodów i w różnym wieku. Mogą być przyczyną i cierpienia ogólnego stanu zdrowia, jak np. anemja, nerwowość wrodzona danej osoby, artretyzm, wiek podeszły, ogólne obchudzenie i mimiczne. Otóż pragnę zapoznać poszczególnie każdą kategorję zmarszczek.

1. Wiek podeszły

W latach poza czterdziestką prawie każda osoba ma zaczątek zwapnienia żył (scleroza). Stopniowo postępująca scleroza utrudnia obieg krwi, przez co skromniej odżywiane mięśnie stopniowo kurczą się, zanikają, podkładka tłuszczowa zmniejsza się, skóra się marszczy, grubieje, załamuje w różnych linjach, traci sprężystość, wytwarzają się zgłębienia, i ogólnie starość akcentuje się w zmarszczkach. W tym stadjum szuka się środków i sposobów odmładzających, co nie jest łatwem, ale bądź co bądź nauka i doświadczenie wiele pomóc może. Odpowiednio zastosowane odżywcze środki na zubożały naskórek, masaże ręczne, elektryczne naświetlanie, wreszcie maski magnetyczne i t. p. zabiegi mogą utrzymać jakiś czas w stanie energji życiowej.

PIEGI,
PLAMY,
ZAŻÓŁCENIA
usuwa
płyn światowej sławy
TUJA
Uwaga: Oryginalny preparat TUJA D-ra Segninaud'a posiada rysunek Jaskółka w locie i lit. W. K.
!! Bez Jaskółki — falsyfikat !!
CENTRALA SPRZEDAZY:
oryginalnego preparatu TUJA,
w Warszawie, Niecała № 5.
Zakład Kosmetyczny W. KLIMECKI

2. Zmarszczki skutkiem anemji.

U osób anemicznych nawet w dość jeszcze młodym wieku spotykamy przy skórze bladej, żółtej policzki zapadłe skutkiem ubytku podkładki tłuszczowej i fałdowanie się naskórka, wyrażające się zmarszczkami. Osoby te, widząc się w lusterku zagrożone nieoczekiwanemi skutkami, szukają rady, aby nie dopuścić do większego bankructwa i częstokroć zbytecznie aplikują przeróżne środki i sposoby, które więcej szkody, niż pożytku, przynoszą. Wiadomo, że w anemji tylko leczenie ogólne, długie przebywanie w łóżku i dobre odżywianie skutki dobroczynne przyniosą.

3. Zmarszczki skutkiem nerwowości

Osoby żywe, nerwowe, wrażliwe, przy najmniejszej okazji wybuchające, skłonne do migreny, które przy takim stanie podlegają neurastenji, czy chorobom płciowym, szybko dostają zmarszczek na skroniach. Zmarszczki u osób nerwowych są charakterystyczne, nie mają linij wyraźnych, lecz są rozstrzelone i przy wszelkich podnieceniach uwypuklają się wyraziście, co zależne jest od pobudliwości nerwów. Osobom tym zaleca się oprócz leczenia ogólnego elektryzacje galwaniczne: np. przy bólu migrenowym w okolicy czoła i skroni przyłożyć pelot „anode katode" na tył głowy, a nawet na kręgach pacierzowych, zaś miejscowe zwilżenie mieszaniną: aqua calcis 20,0—aqua amygdalarum umurarum, co wpływa na uspokojenie.

Można też tym płynem natryskiwać za pomocą pulweryzatora. Elektryzacja galwaniczna powinna być stosowana od 5 do 10 minut, to wystarczy.

5. Zmarszczki mimiczne

Zmarszczki mimiczne widzimy często u bardzo młodych osób, a nawet w dziecinnym wieku. Dziecko, przez figle przedrzeźniając drugie dziecko, przez pusty śmiech, marszczenie niepotrzebne czoła, wpada w nałóg, który powoduje zmarszczki, brózdy na czole, różne linje na powiekach górnych i dolnych, a szczególnie na skroniach. Nałóg taki z biegiem lat staje się chronicznym, i niema innej rady, jak tylko silna wola. Możnaby zastosować „colodium" na owe zmarszczki, co przy ruchach mimicznych utrudnia ruchy i tym sposobem nieco ujarzmia wolę

Wł. Klimecki.





Minister Romocki wraz z wyższymi urzędnikami ministerstwa dokonał inspekcji Polskiego Radja. Stoją od lewej do prawej: naczelnik wydziału prezydjalnego p. Marjan Wyszyński, dyr. dep. inż. Skupiewski, dyr. dep. inż. Mrozowski, radca Dolanowski (w głębi), min. Romocki, wicemin. inż. Eberhardt, naczelny dyr. Polskiego Radja inż. Chamiec i p. Wodzinowski.



W laboratorjum niedawno otwartej Radjostacji Poznańskiej wre usilna praca.

Popieranie i rozpowszechnianie pism i książek o zdrowej i wartościowej treści jest najlepszym środkiem na zwalczanie demoralizacji i upadku obyczajów.

Kto wyrzeka na szerzący się w społeczeństwie upadek obyczajów, a nie popiera i nie rozpowszechnia zdrowych pism i książek, ten nie przeciwdziała złu.

REBUS



ZAGADKI CHIŃSKIE

Jako byk pośrodku pól,
leży ścichły ludzki ból...

*

Choć bez stuku,
dużo huku...

*

Bez hebla, a śliska,
jak srebro połyska,
chwiejesz się, jak pijak,
iść nie mogąc nijak...

*

Zagadkę zgadnijcie taką,
co czerwone, choć bez laku?...

Gdy zapalę bonzie czub,
dymu się ukaże słup,
a ilekroć zrobię „cmok",
wnet wyleci siwy smok...

*

Dwa liście bambusu
wciąż się tłuką z musu...

*

Stoją rzędem w kształcie kopcy
i nie wpuszczą, jeśliś obcy...

*

W pełnym krwi worze
z kamieni brzemię,
o pewnej porze
spada na ziemię...

ROZWIĄZANIE REBUSA z Nr. 11.

„Kobieta-anioł i kobieta-chłopczyca przecie nie antypody".

ROZLOSOWANIE NAGRÓD

Nagrody książkowe przez losowanie otrzymali:

1) Helena Słoniówna w Warszawie, 2) Leszek Kurcewski w Warszawie, 3) Stanisław Gach w Opatowie ziemi kieleckiej, 4) Piotr Podboroczyński w Łodzi, 5) J. Menzel w Toruniu.

Rozpowszechniajcie „FAMULUSA"

Wśród książek

Nakładem Wendego ukazał się zbiór nowel Zofji Dromlewiczowej pod tytułem „Trzydniowy kochanek".

Nowelki, przeważnie osnute na tle zakulisowego życia artystów sztuki kinematograficznej, są nader zajmujące w swojej treści, a dzięki łatwej i popularnej formie czyta się je bez nadmiernego wysiłku. Taka typowa nienużąca lektura podróżna.

Z pośród nowel imaginacyjnych, najładniejsza jest „Marzenie", osnuta na tle teorji Jewreinowa i „Cukierenka" bardzo miła w treści i pozbawiona szablonu w sposobie ujęcia. M. S.

Radjo P. T. R.
POLSKIE TOWARZYSTWO RADJOTECHNICZNE SP. AKC.
FABRYKA APARATÓW I LAMP KATODOWYCH
Warszawa, Narbutta 29, Mokotów
POPIERAJCIE PRZEMYSŁ KRAJOWY!

CENA PRENUMERATY:

Miesięcznie	Zł. 1.—
Kwartalnie	„ 3. —
Półrocznie	„ 6. —
Rocznie	„ 12.—

REDAKCJA i ADMINISTRACJA:
Warszawa Miodowa 5, tel. 28 33 i 2-96
Administracja czynna od godziny 9-ej do 4-ej p. p Redakcja czynna od 10 do 4-tej p. p. Redaktor przyjmuje od godz. 1-ej do 3-ej p. p. Rękopisów nadesłanych Redakcja nie zwraca. Redaktor działu propagandy i reklamy **I. K. Librach** przyjmuje od 9-10.
Konto P. K. O. Nr. 14315.

Redaktor i wydawca *Eugenjusz Rafalski*

Zakłady Graficzne „Polska Zjednoczona", Warszawa, Nowolipie 2.

Dyndała, będąc w potrzebie, o kelnerskim marzy chlebie...

Historja 6-a



— Ha, kelnerem być niezgorzej,
może to mi się ułoży
i nie będzie już frasunku
o wikt i koszt opierunku —
i aż zaśmiał się do szyby,
los uśmiechnął się jakgdyby...



Szyk... z kelnerską w ręku chustą
stoi... czeka... nudno... pusto...
jeszcze wcześnie, lecz niedługo
gości zajmie się obsługą,
a bywa ich taka chmara,
że i groszy co niemiara...



Wpadł Dyndała w młyńskie żarna:
— Kelner, dla mnie raz pólczarna!...
— Jajka miękkie!... — Mnie na twardo!...
— Mnie parówki dwie z musztardą!..
— Dla mnie pączki!...—Dla mnie lody!...
— Dla mnie sok i szklanka wody!...



Mknie Dyndała z pełną tacą,
lecz go urzekł los-ladaco —
tak splątały mu się szyki,
tak stłoczyły się stoliki,
że ugrzązł pośrodku gości
ku ich gniewom i ku złości...



A do tego jeden gruby
złożył ukłon swojej lubej,
potrącając tak Dyndałą,
że mu wszystko pospadało,
zdobiąc głowy jajecznicą
i sokiem niejedno lico...



Wyszli goście urażeni,
a gospodarz aż się pieni
i wymyśla mu od wołów...
Znowu troska niczem ołów
przygniotła Dyndale serce —
nie nie wskórał na kelnerce...

Każdy wybiera tę maszynę,
która wydaje mu się najlepszą



Przeszło 1.000.000 osób wybrało

„ROYAL“

Posiada ona:

ładne pismo,
logiczną konstrukcję,
nader czułe uderzenie,
wyjątkowo mocną budowę.

**Przytem kosztuje taniej,
niż równorzędne marki.**

Tow. „PACIFIC“ Sp. Akc.

Warszawa, Al. Jerozolomskie 25, tel. 117-80, 80-37.